

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

27

Doktor de Villepré cierpiał przytem na manię prześladowczą. Zdawało mu się ciągle, że żyje pod groźbą aresztowania policyi, sprowadzonej na niego przez kolegów, którzy zazdrościli mu sławy i wzięcia.

Dnie biegly, uwydatniając coraz więcej ten stan chorobliwy, czyniąc z doktora Magnusa, człowieka pół szalonego, będącego na łasce rozigranych nerwów i wyobraźni.

W życiu codziennym stał się tak przykrym i nie-normalnym, iż uciekano od niego, nie chcąc się narażać na brutalne starcie się z tym umysłem pozabawionym równowagi.

Raz w sali uniwersyteckiej podczas egzaminu z twarzą bladą, poruszoną ustawicznie nerwowem drganiem muskułów — zadał następujące pytanie zgromadzonemu audytorium:

— Jaki jest najwybitniejszy uczony teraźniejszych czasów?

Odpowiedzi brzmiały różnorodne, stosownie do indywidualnej, poszczególniej opinii.

Lecz każda odpowiedź wywoływała tylko silniejsze drganie jego skurczonej twarzy. Wkońcu wybuchnął gwałtownie, ku ogólnemu zgorszeniu i zdumieniu asystujących kolegów:

— Najwybitniejszym uczonym z czasów przeszłych i obecnych, dowiedźcie się o tem, głupie nieuki i cymbały — jest doktor Magnus de Villepré, tu obecny. — Możecie odejść, żaden z was w tym roku przyjętym nie zostanie.

Na sali obecnym był sławny psychiatra, który zdając sobie jasno sprawę z sytuacji, podszedł do wzburzonego doktora i szepnął mu do ucha z naciskiem:

— Dawny pana pacjent — ten stary król, wzywa pana gorąco. Liczy tylko na pańską pomoc. Pan wie przecież, stan jego jest rozpaczliwy. Ofiarowuje dwa miliony franków, jeżeli pan natychmiast do niego przybędzie. Radzę nie ociągać się.

Magnus odpowiedział zimno, że się namyśli, ale cel psychiatry został osiągnięty. Doktor natychmiast przerwał posiedzenie i pobiegł do domu, gdzie słuzącemu wydał rozkaz przygotowania się do drogi.

Projektowana podróż zakończyła się odwiezieniem go do domu zdrowia, gdzie skończył dwa lata później.

Była właśnie godzina jego zwykłych przyjęć, kiedy powrócił do siebie, po przerwanem posiedzeniu w sali uniwersyteckiej.

Słuzącemu, który stał w drzwiach poczekalni, rozkazał głośno wszystkich gości wyrzucić na schody. Wszyscy zerwali się spiesźnie i wybiegli, widząc nienaturalny stan doktora.

Pozostał tylko jeden. Napróżno kolega doktora Magnusa tłumaczył mu, że Villepré oczekiwany jest przez pewną wysoką osobistość i musi bezzwłocznie wyjechać, uparty gość twierdził, że również potrzebuje porady doktora i że jest milionerem, mogącym dać równie wysokie honorarium, jak tamten pacjent.

Lekarze, którzy nadbiegli w tym czasie wraz z dozorcami, sądzili, że mają przed sobą drugiego szaleńca, którego należy ubezwładnić.

Ale Allan, gdyż to on był, roztrącił wszystkich i wpadł do gabinetu doktora Magnusa.

— Czy pan zna wysokość mojego honorarium? — zapytał go doktor, nie wstając z fotela.

Allan wyciągnął portfel z czekami i zapytał:

— Wiele?

— Dwa miliony franków.

Znaki dawane przez lekarzy, którzy byli świadkami tej sceny, objaśniły Allana, że sprawiedliwości, której tu szukał, stało się już zadość, że nie miał tu już nic więcej do czynienia.

— Dwa miliony franków — powtórzył doktor Magnus podniesionym głosem.

Ale Allan, zapominając, że ma przed sobą szaleńca, uniesiony gniewem, zawołał nagle:

— Zgadza się: Ale musisz mi powiedzieć, doktorze de Villepré, czyś wręczył sumę tej samej wysokości pewnej damie z ulicy św. Łazarza, i czy za tą cenę okupiłeś dostęp do młodej dziewczyny, która tam się znajdowała! Jest ona moją siostrzenicą i chce przeciw tobie założyć skargę!

— Ależ panie — zaprotestował jeden z obecnych lekarzy — czyż pan nie widzi, że doktor de Villepré nie jest w stanie logicznie odpowiedzieć

panu? Że nie może panu odpowiedzieć! Czy mnie pan nareszcie rozumie?

Nagle, doktor Magnus, jakgdyby ujrzał jakieś straszne widmo przed sobą, zaczął się trząść przeraźliwie i z głośnym okrzykiem opadł bezwładnie na poręcz fotela.

— Policja! Policja! — szeptał, wodząc wokoło błędnymi oczyma.

— Skończone wszystko — wyrzekł Allan. — Nic się nie dowiem od tego potwora. Sprawiedliwość osądziła go sama.

I chciał skierować się ku wyjściu, kiedy powstrzymał go dalsze słowa szaleńca, wymówione z trudem:

— Zostań... nie odchodź... nie sprowadzaj policyi... Chcą się mścić na mnie, za sławę moją i wiedzę. Mylisz się... wiem o czem mówisz. To nie tak było... To nie ja... to ten książę... on żyje... przekonam cię o tem. Łaski... to Bressien zabił plenipotentę — czekaj, ja tylko oszukiwałem, grając... to wszystko! przysięgam. Czekaj... nie chodź po nich — powiem... oskarżę się. Janina bretonka... to fałsz! Chciałem ją uspić... ale wyratowano ją... jest niewinna... Nie chodź po policyę! Łaski... nie dam się wziąć... słuchaj... ja jestem Magnus de Villepré... łaski...

Nędznik przyczółnął się do nóg Allana i rozpaczliwym ruchem wyciągnął do niego ręce.

Nagle zerwał się gwałtownie i z pianą na ustach, z oczyma rozbiłyemi wściekłością rzucił się na niego, krzycząc:

— Nie zabijesz mnie! nie zabijesz! Ja jestem sławny doktor Magnus de Villepré!

Zemsta apasza.

Przed opuszczeniem kolonii afrykańskiej, Allan podjął był zlecenie markiza de Kermor i Henryka; miał wytłomaczyć pani de Kermor nagły wyjazd jej męża i uspokoić jej troskę o zdrowie Henryka.

Oczekiwano na przybycie Allana w bogato urządzonym domu w Paryżu. Automobil stał zawsze w pogotowiu, zaufana służba oczekiwała rozkazów, poinformowana wcześniej depeszami.

Wszedłszy do mieszkania, Allan natychmiast przystąpił do zmiany ubrania. Zwykła kurtka i buty ustąpiły miejsca długiemu, czarnemu surdutowi i lakierom.

— Wyglądam na światowego człowieka, bawiącego się w detektywa — pomyślał, przeglądając się z upodobaniem w lustrze.

Z ostatniej swojej rozmowy z Henrykiem dowiedział się Allan, iż doktor Magnus de Villepré był tym, który miał pośród zabawy nocnej uwieść Janinę le Brenn i na zawsze ukryć ją przed oczami świata. Postanowił więc rozmówić się po kupiecku z tym zdolnym do wszystkiego człowiekiem i opłacić stosownie jego szczerść, grożąc mu zaciętą walką, gdyby upierał się w milczeniu.

Przypadek posłużył mu znakomicie, lepiej niż mógł przypuszczać.

Wyszedłszy z domu doktora Magnusa i wsiadłszy do oczekującego automobilu, Allan z zadowoleniem pomyślał, że ta pierwsza sprawa powiodła mu się szczęśliwie.

— Jeżeli ten waryat mówił prawdę, to największym nędznikiem z tej dobranej szajki jest baron de Bressien — rzekł do siebie, podczas gdy automobil uwoził go w dzielnicę Temple.

Wkrótce potem Allan stanął przed domem zamieszkałym niegdyś przez Janinę. Pani Lorange, dozorczyńni drzemająca w swoim fotelu, zbudziła się zdumiona i wystraszona, widząc wchodzącego obcego człowieka do swojej łoży.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała, zrywając się szybko i podchodząc do przybyłego.

— Pani Lorange — odpowiedział Allan — zapowiadam pani, że czas mam bardzo ograniczony. Ma mi pani powiedzieć, bez kłamstwa i wykrętów wszystko, co wie o Janinie le Brenn, lokatorce pani.

Pani Lorange, zaskoczona tak śmiałym wystąpieniem, opadła bezwładnie na swój ulubiony fotel, z którego wzruszenie powstać jej już nie pozwoliło.

— Boże mój! — wyjęczała — znowu ona! Ależ to oszaleć można!

— Szaleje pani do woli, jeżeli jej to się uśmiecha — wyrzekł Allan stanowczym głosem — ale odpowiadaj prędko. Jeżeli to pani uczyni, dostaniesz ten oto banknot tysiącfrankowy, w przeciwnym razie narazi się pani na poważne nieprzyjemności. Zrozumiała mnie pani?

— Ależ — wyjąkała kobieta — ja tylko czekam na zapytania pańskie.

— To doskonale! Może więc pani zarobić tysiąc franków w przeciągu pięciu minut! Bo za piętnaście będzie już zapóźno; powiem pani później dlaczego.

— Mój panie — zaczęła skwapliwie dozorczyńni, spoglądając łakomie na banknot, trzymany przez Allana. — Prawdą najszczerzą jest, że panna Janina le Brenn nie jest już moją lokatorką. Była nią zaledwie kilka dni. Poszła sobie stąd jednego dnia z młodym człowiekiem o jasnych włosach, a ja nawet w tym względzie byłem zawezwana nazajutrz na inspekcję policyi... Może pan jest jednym z tamtych panów, to pan wie, że mówię prawdę.

Ku wielkiemu zadowoleniu Allana, pani Lorange nie wyraziła się w dalszych wywodach ujemnie o młodej dziewczynie.

— Wygrała pani nagrodę — rzekł Allan, wysłuchawszy jej do końca i rzucając banknot na kolana starej kobiety.

— Ot! drogi panie! — wyszeptała gorąco. — Jaki z pana uczciwy człowiek! Gdyby pan wiedział...

— Czy ta panienska pozostawiła tu meble swoje? — przerwał Allan jej słowa.

— Nędzota! sama nędzota! kažemy to wysprzedać, bo tylko niepotrzebnie miejsce zabiera.

— Dosyć na dzisiaj rozmowy. Ma tu pani jeszcze drugi tysiąc franków. Jeżeli do roku panna le Brenn nie zgłosi się po swoją własność, przejdzie ona w moje ręce.

— Panie kochany, to doprawdy za wiele!

— To za wiele? Może pani dać ubogim. Tymczasem prowadź mnie pani na schody, gdyż nie sądzę, żeby ten pokój znajdował się na dole.

— Wielki Boże! A pewnie, że nie! Pokój za sto sześćdziesiąt franków rocznie!

Pani Lorange powstała ciężko z fotela i wzięła klucz od pokoju Janiny, wiszący na gwoździu i wskazała drogę Allauowi. Wszedł on z pewnem wzruszeniem do tego skromnego pokoiku zamieszkanego przez młodą dziewczynę. Położył kapelusz na komodzie i przetarł ręką czoło.

— Niech pani zejdzie do siebie — rzekł do pani Lorange, która przypatrywała mu się w milczeniu. — Wolę tu sam pozostać. A zresztą zdaje mi się, że tam panią wzywają.

— Psia służba, mój drogi panie — wycedziła, kłaniając się nisko dozorczyńni — do miłego widzenia. Mówiąc to, zabrała się do odwrotu niechętnie, spoglądając z gorącym uwielbieniem na tak szczerzego i dziwnego gościa.

Allan le Brenn, jaśniejszy niż kiedykolwiek skostatował teraz, że w piersi jego bije jeszcze żywe i wrażliwe serce. Wszystko go wzruszało w tym pokoju umeblowanym, z prostotą i wdziękiem. Drobiazgi poukładane starannie na komodzie, białe firanki u okna, toaleta pokryta zwyczajnym, jasnym kretonem i zielone jeszcze gałązki sośniny wetknięte za łóżkiem, czysto zasłanem.

— To jest mieszkanie uczciwej dziewczyny — pomyślał Allan, albo ja głupcem jestem i waryatem.

Odetchnął głęboko i ręką potarł czoło, jakgdyby chciał odpędzić wzruszenie i powoli skierował się ku wyjściu, mrużąc pod nosem:

— Zobaczmy, panie Delrue, zobaczmy, kto będzie silniejszy, ty, czy też my dwoje z Janiną.

Delikatnie przymknął drzwi od pokoiku i przekreślił ostrożnie zamek, i zeszedł ze schodów.

Przeszedł, milcząc, obok łoży pani Lorange.

— Klucz! Drogi panie, zapomina pan o kluczu! — zawołała, widząc, że nie zwraca na nią uwagi.

— Klucz zabieram z sobą! — odparł Allan stanowczo.

Wyszedł na ulicę i wskoczył do automobilu, rozkazawszy szoferowi jechać na ulicę św. Maur.

O kilka kroków od znanego nam już szynku, pod „Czerwoną Gwiazdą“, Allan zatrzymał automobil i wysiadł.

Dzień już szarzał, zalegając zmrokiem ulicę. Latarnie nie świeciły się jeszcze.

W drzwiach szynku, wsparty o framugę, stał jakiś człowiek w zmęczonej postawie.

— Czy wy jesteście Jakób, posługacz? — zapytał Allan, podchodząc do niego.

— Na usługi pana.

— Pani de Kermor zwróciła mnie do was.

— Oh! ta święta pani! Jej to zawdzięczam prośbę pana, że żyję jeszcze, że nie skończyłem gdzieś w szpitalu. Było już źle ze mną. Ale pani markiza przysłała mi jakiegoś sławnego lekarza i pie-niędzy nam dała...

— Tak, to bardzo zacna kobieta. Wiecie zapewne, że interesuje się Janiną le Brenn, która była u niej w zajęciu.

— To tak, jakgdyby jej córka była rodzona. Czy ją nareszcie odnalazła?

— Prawie, tylko chcielibyśmy się dowiedzieć, czy ta młoda dziewczyna zasługuje na opiekę i starania.

— Z wszelką pewnością. Może mi pan wierzyć.